

Sonia

Kiedy wzgórze naszego domu ubieli śnieżna szklistość, a spod zwałonego pnia morwy wychynie rudy lis i przebiegając polaną spragniony dopadnie strumyka; kiedy rysunek drobnych jego śladów na śniegu zdradzi tajemnicę wypadu, wtedy w hieroglifach pamięci powstają zapomniane obrazy i wraca tamta zima.

Kiedy o zmierzchu tulipanowce wyciągają czarne ramiona do liliowego nieba, wspinając się na palce poza osrebrzonymi świerkami, kiedy cisza tchnie rześkim zapachem bieli i pierwszy lodowaty sopel zastyga pod okapem okna, a noc jak puchate skrzydła sowy zapada nagle i wszystko staje się małe, osiągalne i możliwe, jakby zamknięte w zaciśniętej dłoni, wtedy wraca obraz tamtej zimy.

Była to jedna z najostrzejszych zim, jakie pamiętam. Zima roku 1944. Po powstaniu znaleźliśmy się w Lublinie. Babka moja dała nam dwa pokoje w przylegającym do nowej kamienicy jednopiętrowym domku, pamiętającym jeszcze koniec ubiegłego stulecia. Mury miał grube jak zamek wawelski, okienka małe, wychodzące na ulicę Narutowicza, łazienkę zastępował kubeł w szafie, a piec - żelazna „koza”. Straszny i niebezpieczny był Lublin zimą 1944 roku. Na zamarzniętych ulicach ślisko i ciemno. Na Dolnej Panny Marii, uliczce biegnącej stromo ku Bystrzycy, coraz to rano znajdowano poduszonych ludzi. Mało było odważnych, którzy chcieliby wracać ze stacji Nową Drogą wśród łąk. Nieraz wieczorem słychać było przeraźliwe krzyki. Jeden z nich, krzyk kobiety, długo mnie prześladował. A jeśli późnym wieczorem ktoś gwałtownie zapukał do naszych drzwi, wiadomo było: to oni. W uchyleniu zjawiały się zmarznięte kałmuckie twarze o nieprzeniknionym uśmiechu. To żołnierze na warcie. Prosili: - „Dajcie się zagrzać „hazajka”.

Siadali przy stole w pierwszym pokoju, nędznie umeblowanym dwoma krzesłami i połowym łóżkiem, kurzyli ohydną machorkę w kawałkach gazety, brali z wdzięcznością ofiarowywany im chleb, popijali gorącą herbatą, mówili, że są głodni, że im zimno, bo wychowali się na południu i już już sześć lat na wojnie. Spoglądali przez zarośnięte lodowym kwiatem szybki, na skutą lodem i śniegiem ulicę i odchodzili rozgrzani, wdzięczni, w pustkę białej nocy, a odgłos ich kroków tonął w bezmiarze śniegu.

Jednego z tych grudniowych wieczorów usłyszeliśmy zgrzyt zatrzymującego się samochodu i zaraz gwałtowne walenie do drzwi. Podbiegłam na palcach, boso i cichuteńko, przyłożyłam ucho do drzwi. Wśród gwaru głosów rozpoznałam głos mojej koleżanki wołający mnie po imieniu.

Otworzyłam. W sieni stało kilku żołnierzy. Spomiędzy nich wysunęła się Wanda.

- Przywieźli mnie z Warszawy - powiedziała - a teaz nie maja się gdzie podziać. Jest noc. Nie znają Lublina.

- To chociażby - prosił śpiewnym, przeciągłym głosem jeden z żołnierzy - nocleg dla porucznika-doktora, którego żeśmy tu przywieźli na uniwersytet. Bo my to możemy na sianie, na podłodze albo w samochodzie.

Zaprosiłam ich do mieszkania. Ziąb na dworze był okrutny. Twarze mieli sine od zimna.

- Przyprawdzajcie waszego doktora - powiedziałam. - Zaraz zrobię herbatę. A co to za doktor?

- Kobieta - powiedział ten, który prosił o nocleg.

- Rosjanka - pochyliła się ku mnie moja koleżanka.

„Doktor” nie mógł się jeszcze wydostać z samochodu. Stanęła wreszcie przede mną w drzwiach: maleńka, krępa, grubiotka, w rogatywce zsuniętej mocno na czoło. Perkaty nosek, wystające kości policzkowe, nieforemne grube wargi i nieśmiały uśmiech dziewczynki. Wzruszyła mnie swoja brzydotą i bezradnością.

- Dobry wieczór - wyciągnęłam do niej rękę - proszę, wejdźcie.

Odpowiedziała po rosyjsku. Przepraszała, że robi nam kłopot, że to tylko na jedna noc. Weszła do pokoju. Nieśmiały uśmiech rozświetlał jej brzydotę. W szerokich, niezgrabnych spodniach, w ośnieżonych butach stąpała drobniotka, jakby bała się cała stopą dotknąć podłogi. Rzuciła na krzesło czapkę z orzełkiem, wydostała się z otulających ją kocy, zgrabnie usiadła przy stole. Były w niej kontrasty trudne do zrozumienia. Ostre, kałmuckie kości policzkowe, bladoniebieskie, maleńkie oczka, duża głowa z przylepionymi kosmykami utlenionych włosów i delikatne, małe, kształtne ręce, którymi zgrabnie ujęła nóż i widelec.

- Jak się nazywasz? - spytałam.

Nie zrozumiała. Poprosiła po rosyjsku, aby jej przetłumaczyć. Mówiła pięknym językiem, dźwięcznie, śpiewnie. Na imię miała Sonia. Nazwisko polskie. Po pewnym czasie zaczęłyśmy się rozumieć, chociaż ona mówiła po rosyjsku, a ja po polsku, ale gestykulacja, mimika i wsłuchanie się, które pozwala na intuicyjne odczucie myśli pomagały nam we wzajemnym rozumieniu.

- Soniu, czy jesteś Polką?

- Nie, kochanie, to tylko mój ojciec, pułkownik, był Polakiem, a matka Rosjanką. A ja czuję się Rosjanką.

- Dlaczego więc jesteś w polskim wojsku? - spytałam.

Odsunęła filiżankę z herbatą. Spojrzała na mnie. Jej maleńkie oczy były zmrużone. Cienie naftowej lampki padały na twarz, przełamując ją i jakby skrywając.

- Kazali iść. Jak tylko zaczęło się tworzyć Wojsko Polskie w Rosji, wszystkim nam, którzy mieliśmy jedno z rodziców polskie, kazali iść do tego wojska. Płakałam, nie chciałam. Bałam się Polski. Bałam się Polaków. Opowiadali, że nas, Rosjan, męczą, biją, mordują. Kiedy mnie w Chełmie zaczęli podrzucać do góry niby na powitanie, to myślałam, zaraz zaczną mordować.

Pochyliła głowę, oparła ją na rękach, kołysała się rytmicznie w przód i w tył.

- Soniu, a może napiłabyś się jeszcze herbaty?

Wstała i krzyżując ręce na piersiach skłoniła się głęboko, kilkakrotnie.

- Dziękuję, dziękuję, już nie mogu...

Sięgnęła do swojego chlebaka. Wyjęła z niego cieniutką filiżankę pełną smalcu. Podała mi ją. Wyłożyłam tłuszcz do garnuszka i uniosłam w górę filiżankę. Światło padało na misternej roboty porcelanę. Była cieniuteńka, delikatny znak wodny - głowa kobiety - widoczna była w tym oświetleniu.

- Przepiękne! Skąd to masz, Soniu?

- To? Ach, to zdobyczne. Mój pułkownik ma ich jeszcze więcej. Podoba ci się? Weź!

Sonia nie była doktorem. W Rosji ukończyła trzy lata „akademii medycznej”. Skończyła jakiś kurs felczerski, ale w wojsku otrzymała funkcję lekarza. A teraz, na rozkaz gen. Roli-Żymierskiego, wszyscy studenci medycyny w wojsku z nie ukończonymi studiami mieli być odkomenderowani do Katedry Medycyny Wojskowej w Lublinie i Sonia przyjechała ukończyć medycynę na polskim uniwersytecie.